Nr. 16. Warszawa, d. 16 Sierpnia 1907 r. R. IX.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Ś-to Krzyżka 36 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W sierpniu wolno polować na: dziki, łosie (hyki), sarny (rogacze), głuszce (koguty), cietrzewie (koguty), jarząbki (koguty), oraz na wszelkie ptactwo przelotne, a od 1 (14) sierpnia na jelenie (byki), zające, głuszce, cieciorki, jarząbki (kury), kuropatwy i dropie.

Lunacya w sierpniu.

Pierw. kw. d. 15 o g. 10 m. 39 w.
Pełnia d. 23 o g. 1 m. 49 w.
Ost. kw. d. 30 o g. 7 m. 2 w.

Wschód i Zachód Słońca
w sierpniu.

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	4	44	7	24
17	4	45	7	22
18	4	47	7	20
19	4	49	7	18
20	4	50	7	16
21	4	52	7	14
22	4	54	7	12
23	4	57	7	10
24	4	58	7	8
25	4	59	7	5
26	5	1	7	3
27	5	3	6	58
28	5	5	6	54
29	5	7	6	51
30	5	8	6	49
31	5	10	6	48



Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 202.

Nr. 16.	Warszawa, d. 16 sierpnia 1907 r.	Rok IX.
	Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.	

V-ta Warszawska Wystawa psów.



„Lady“ (medal złoty) — setterka szkocka p. Pawła Lazara i **„Caro“** (medal złoty) — setter szkocki p. Henryka Steinhagena.

POGAWĘDKI SEZONOWE.

Ostatnie polowanie w sezonie!. Koniec stycznia lub początek lutego, więc przed nami tylko kilka miesięcy myśliwskiej bezczynności. Mimowoli smutek nas ogarnia, bo z p łówką, to jak z miłością: nigdy tego dosyć niema. A tymczasem surowe prawo powiada nam: basta! będziecie polowali od 14 lipca na kaczki, kszyki, oraz wszelkie ptactwo przelotne, a tymczasem możecie się trochę rozerwać w kwietniu na ciągach słonek i toku cietrzewi. Słaba to pociecha, bo u nas w Królestwie ciągi słonek są tak liche, że nie warto prawie na nie jeździć, a nie każdy myśliwy może znów na toki cietrzewi się wybrać. A tymczasem od tego 14-go lipca dzieli nas luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec i połowa lipca— całych pięć miesięcy i jeszcze w dodatku połowa, ta właśnie połowa, która się nam tak długą wydaje, jak parę innych miesięcy, bo w naturze ludzkiej leży, że im bliżej upragnionej rzeczy, tem czas nam się dłuższym wydaje. Lecz nie mając nic lepszego do roboty, musimy się ze smutną rzeczywistością pogodzić, pakujemy flintę do kąta, lub ją oddajemy puszkarzowi do sumiennego oczyszczenia i w oczekiwaniu 14 go lipca żyjemy... nadzieją. Snujemy sobie projekta, jak to zapolujemy na kaczki, lub pojedziemy na błota, gdzie kszyków zwykle sporo, a może uda nam się wyrwać na jaki tydzień do błot litewskich, a tam dubelty dadzą nam cały szereg myśliwskich uciech...

Tymczasem czas nam się wlecze, serce rwie się do tych obszernych łanów zżętego zboża, do tych lasów, roznoszących żywiczne aromaty, na te niezmierzone łąki i błota, pokryte bujną, kołyszącą się od lekkiego powiewu ciepłego powietrza, trawą. Liczymy miesiące, tygodnie, dni, godziny. Już tylko miesiąc, już tylko dwa dni! Jutro otwarcie sezonu, a raczej pół-sezonu, bo jeśli może być świat i pół-światek, to dlaczegóż nie ma być sezonu i pół-sezonu. Wielki sezon datuje się dopiero od 14-go sierpnia, odkąd można już strzelać kuropatwy, młode cietrzewie, młode głuszce, a nawet jeśli się zbytnio z etyką myśliwską nie liczymy—młode zajączki.

W każdym razie od d. 14 lipca możemy już choć w części dać ujście naszej energii, tłumionej z takim trudem, przez pięć i pół miesiąca. Znać to po ruchu, jaki się wśród myśliwych budzić zaczyna. Na stacyach kolei żelaznych, lub kolejek podjazdowych zjawiają się nemrodzi różnego wieku i najrozmaitszych sfer społecznych, poczynając od eleganckiego pana w pluszowym kapelusiku tyrolskim z pęczkiem piórek za wstążką, z prawdziwym „Purdey'em" w skórzanym futerale, a kończąc na skromnym mieszczuchu, uzbrojonym w taniego „Sauera" lub w niewyszukaną broń szwedzką, że nie wspomnę o całej kolekcyi starych i silnie podniszczonych „lankastrówek", a nawet „lefoszówek". Dobór psów, towarzyszących tym nemrodom, jest niemniej urozmaicony: ten ma oryginalnego „laweracka", pochodzącego z renomowanej psiarni moskiewskiej, tamten niemca kurtyzowanego, inny „pointera" czysto warszawskiego typu, z ostrą, chartowatą mordką, na cienkich, wyniosłych nóżkach, z ogonkiem, w trąbkę do góry zwiniętym; wreszcie trafi się czasami wielki, masywny brytan, który po wyżle odziedziczył tylko nazwę. Jedną mają wspólną cechę ci wszyscy myśliwi i te wszystkie psy: widać w wyrazach ich twarzy lub w przyśpieszonych ruchach ogonów, że są zadowoleni; wszystkim błyszczy słońce wschodzącego sezonu.

Gdybyśmy tak mogli spenetrować zawartość tych wszystkich torb myśliwskich, jakie nam się wtedy przed oczyma przewiną, to, pomijając kilkofuntowe kiełbasy, całe paciorki serdelków i tuziny bułek, chroniące się w otchłaniach potężnych worków biedniejszej braci myśliwskiej, znaleźlibyśmy tam najrozmaitszego kalibru i najrozmaitszego gatunku ładunki, między którymi pierwsze miejsce zajmują oryginalne „Eley'e" nabite „E. C. Poweder", a na szarym końcu idą dziesięć już razy używane gilzy krajowe, nafarszowane poczciwym, czarnym prochem krajowego wyrobu, bo to i tanio kosztuje i strzelby nie niszczy, a że tam po strzale obłok dymu zasłania chybioną zwierzynę, to mniejsza z tem. A co za rozmaitość śrótów! Wszyscy niby to mają polować na kaczki, zdawałoby się więc, że wszyscy powinni używać tych samych śrótów. Bynajmniej! Zwolennik nowoczesnych prądów ma ładunki nabite Nr. 8 hartu, bo według niego „im cieńszy śrót, tym lepszy".

OSTATNIE ŁADUNKI.

Przez

Henryka de Bruchard'a.

(Z francuskiego).

(Dokończenie).

„Pamiętałem przedewszystkiem o tem, aby zważyć jeden ładunek na wadze, znajdującej się w kancelaryi, a ponieważ wszystkie ładunki zawierały jednakową ilość monet, za każdym razem kładłem, zamiast gilzy ze złotem — gilzę, napełnioną śrótem, tej samej wagi; przykrywałem śrot luidorem, a na niego kładłem przybitkę, przykręcałem starannie i figiel — mówię „figiel", aby nie być zbyt surowym— był gotów! Mój Boże! byłem jednak dobrym złodziejem!

„Doskonały armaniak, wspomnienie pomyślnego dnia łowów, widoki szczęśliwego popołudnia, a przedewszystkiem to szelmoskie słońce, to powietrze krainy południowej, tak pobłażliwe, tak obojętne — wszystko to czyniło, żeśmy znajdowali ten żart doskonałym, śmiano się więc serdecznie z tego poczciwego wuja Prospera, trącącego prowincyą, z tego typu, jakiego się już dzisiaj nie spotyka, lubiącego dobre wino, wieś i swego siostrzeńca, a który, na wspomnienie przebytego podczas Komuny strachu, chował w gilzach swe złoto!"

Lapeyrose ciągnął dalej z goryczą w głosie.

„Ostatnia moja podróż była mniej zabawną. Już od dłuższego czasu nie zaglądałem do śpichlerza, gdyż była po temu ważna przyczyna; wizyty moje były już wtedy zupełnie bezinteresowne. Combescure został już deputowanym — ten osioł, który był ostatnim uczniem w klasie, zrobił jednak karyerę! — dostawcy stawali się coraz twardszymi. Zacząłem myśleć o życiu spokojnem. Poznałem właśnie wtedy pewną młodą osobę, która mi do gustu przypadła; czułem, że założywszy kancelaryę, zmiękczę trochę jej rodzinę, która mi miała za złe moje wesołe życie. Jeździłem więc do wuja Prospera i zdecydowałem się nareszcie pewnego wieczoru, gdym go znalazł wesołym. Winobranie udało się, ceny wina doskonałe; powiedziałem więc sobie: Wuj będzie wspaniałomyślny. Do rzeczy!

„Ani mrugnął okiem, tylko wypytywał mnie szczegółowo o pannę i kancelaryę, na które reflektowałem. Widocznie i jedno i drugie przypadło mu do gustu. Nagle wstał.

— Co się raz obiecało, trzeba spełnić; przyniosę zaraz potrzebną sumę.

„Widząc, że się kieruje ku śpichlerzowi, zbladłem i już miałem mu powiedzieć, że to wszystko żarty, że chciałem go tylko wypróbować, że mam jeszcze czas, żem się ostatecznie jeszcze nie zdecy-

Onby i do dzikich łabędzi używał 8-go numeru hartu, bo tak robi lord de Grey, a przecież to powaga w kwestyach strzeleckich. Wprawdzie po takim strzale kaczka, strzelona na 50 — 60 kroków, leci dalej, wydawszy z siebie jedynie białawy znak niewymownego przestrachu, ale to furda! Nie możemy przecież kontrować teoryi lorda de Grey'a. Tymczasem konserwatywny myśliwy, ten od kiełbasy i serdelków, do tych samych kaczek grzeje zerem sosnowickiego śrótu, bo taki śrót dalej niesie; a zresztą tak strzelali nasi ojcowie i bili zwierzynę całemi furami.—Na miłość Boską! gdzież prawda?—spyta niedoświadczony myśliwy.—Prawda, szczerozłota prawda — odpowie mu stary praktyk — leży zawsze po środku. Strzelaj do kaczek 4 numerem hartu lub 6 sosnowickiego śrótu, a osiągniesz możliwie najlepsze rezultaty. Ósmy hart schowaj na kszyki, a zero sosnowickiego śrótu – na wilki i bandytów.

Już od kilku tygodni rozbrzmiewają strzały po stawach, błotach i zalanych łąkach; słychać suchy trzask bezdymnych nabojów i przeciągły, niby armatni huk czarnego prochu. Biedne kaczki, spłoszone w swych zacisznych kryjówkach, zrywają się ciężko z lękliwem kwakaniem, a nielotne „klapaki" zaszywają się w największą gęstwę oczeretu i rogoziny. Lecz i tam nie zawsze są bezpieczne, bo je znajdzie naganiacz i pałką w łeb uderzy, lub wrogi pies zadusi, a gdy na czyściejsze miejsce wypłyną, rażą je śróty chciwego myśliwca.

Tymczasem zbliża się dzień otwarcie wielkiego sezonu i gdy w roli uprzywilejowanego kuchmistrza łowieckiego podam wam, czytelnicy, tę oto strawę duchową, już niejedna kuropatwa padnie od celnych strzałów, niejeden „marczak" wzbogaci swem wątłem ciałkiem śpiżarnię miejskiego nemroda Kroniki myśliwskie zaczną nam opiewać o setkach i tysiącach zabitej zwierzyny, a dział „wypadków na polowaniu" zwiększy się niejedną wiadomością o postrzeleniu, lub co gorzej—zabiciu kogoś tam wskutek nieostrożnego obchodzenia się z bronią. Obym w tym ostatnim wypadku był złym prorokiem!

Mimo ostrzeżeń, mimo nawoływań, rok roku powtarzają się te smutne wypadki, które przytrafiają się nietylko młodym, niedoświadczonym myśliwym, ale często starym wygom, którzy zęby na sztuce łowieckiej zjedli. Trojakie są tego psychiczne powody: gorączka myśliwska, roztargnienie i lekkomyślność. Pod wpływem gorączki myśliwskiej strzelec nie zdaje sobie sprawy, czy mu wolno strzelać w danym kierunku lub nie. Gdy mu się kuropatwy zrywają, lub zając pomyka, nie rozejrzy się zawczasu, czy w kierunku strzału niema kogo w pobliżu, lecz strzela i nieraz śróty, przeznaczone dla zwierzyny, pakuje w ciało swego bliźniego. Łatwo się to zdarza przy polowaniu na kury, szczególnie na chłopskich działkach, gdyż jest to czas roboty w polu, więc na każdym kroku widać ludzi pracujących. Trzymajmyż się tego ważnego przepisu, żeby, chodząc po polu, nieustannie oglądać się; zwłaszcza, gdy pies ściąga do zwierzyny, pilnie rozejrzyjmy się, aby upewnić się, że pole w tym kierunku jest wolne. Trochę tylko pracy nad sobą, a prędko dojdziemy do tego, że machinalnie przepis ten stosować będziemy.

Roztargnienie jest straszną wadą w myśliwym. Jeśli uczony, wychodząc na ulicę zapomni włożyć krawata, lub zapiąć trzech guzików na przodzie, to na tem niewiele straci; najwyżej ten i ów roześmieje się, opowie znajomym, a uczony zdobywa sobie sławę oryginalności. Lecz jeśli myśliwy podchodzi z nabitą bronią i odwiedzionymi kurkami do swych bliźnich i wylotami luf prowadzi im po brzuchach, jest to roztargnienie karygodne, gdyż spowodować może śmierć, albo kalectwo człowieka, a sobie przysporzyć wyrzutów sumienia na całe życie. Równie opłakane skutki sprowadzić może lekkomyślność, a lekkomyślnością jest siadać na brykę z nabitą bronią, przechodzić przez opłotki z odwiedzionymy kurkami, palić papierosy przy robieniu ładunków i wiele, wiele innych czynności, na które bodaj że większość myśliwych nie zwraca uwagi. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże". Myślmy tylko ciągle o tem, że nasza dubeltówka jest to broń straszna, której śmiercionośne zalety skierować się też mogą przeciw naszym bliźnim, albo nam samym, a unikniemy nieszczęścia i innym biedy nie przysporzymy.

Pragnąłbym się z wami podzielić wiadomościami o tegorocznych zwierzostanach, ale póki jeszcze zboża niesprzątnięte, trudno jest o tem wyrokować. Zajęcy, jak zewsząd słychać, będzie w tym roku bardzo dużo, więc dobry rezultat jesiennych i zimowych polowań jest chyba zapewniony. Co do kuro-

---

dował, że wolę wziąć inną pannę, blondynkę... Lecz przyszła mi refleksya, że wuj nie pozbędzie się swego zapasu, że z wiekiem jego strach przed rewolucyą urósł i że zapewne ma jeszcze drugą skrytkę. Wuj Prosper powrócił. Straszna ta scena stoi mi dziś jeszcze przed oczami.

— Oto — powiedział, stawiając przedemną doskonale mi znaną skrzynkę—w przewidywaniu złych czasów, zachowałem te pieniądze, które ukryłem, mogę powiedzieć, w sposób gienialny. Trzebaby wielkiej przebiegłości, żeby je tu odkryć; ale ja jestem stary i nie w ciemię bity! A tymczasem zobacz moje oszczędności. Znajdziesz tu 60,000 franków w napoleondorach

„Wyciągnąłem rękę po skrzynkę, bełkocząc wyrazy wdzięczności, w gruncie jednak miałem jeszcze zamiar udawać. Wuj mój jednak był nieubłagany i nieraz zadaję sobie pytanie, czy ten stary nie wiedział już wtedy o całej mojej podłości? Jakżeż ja byłem surowym wtedy dla siebie, jakimi wyrazami częstowałem siebie w duchu. Gdy teraz rozważam sobie, gdy widzę dwie mosiężne blachy, rodzinę, ogródek—wierzcie mi—przyznaję, że to, com zrobił, było nikczemne.

„Nie macie się z czego śmiać; chciałbym was widzieć w mojej pozycyi!

„Jak mi się zdaje, wuj Prosper nie zauważył mego pomieszania.

— Przeliczmy — powiedział mi — może tu brak czego, może ja przesadzam wysokość swego majątku, a raczej tweg..., mój kochany, na starość człowiek robi sobie czasami iluzye.

„Ja tymczasem kląłem w duchu, na czem świat stoi. Wuj utkwił we mnie swe szare oczy.

— Sześćdziesiąt tysięcy, to suma poważna, hę! musisz to przyznać, ty, coś hulał porządnie w Tuluzie! Boś ty tam wyprawiał orgie, gałganie. Wiem ja o tem, ale teraz już wszystko skończone... Ożenisz się, zostaniesz notaryuszem, nie żałuję ci tego!

„Namyślił się jeszcze przez chwilę, i jakby żałując rozstać się ze swym skarbem, zważył go jeszcze w ręku.

— Ależ to ciężkie te sześćdziesiąt tysięcy franków w złocie!

„Nagle, jakby się decydując na krok stanowczy, dodał:

— Masz, mój chłopcze, i rób sobie, co ci się podoba! Jak kto sobie pościele, tak się też i wyśpi! „Nie wiem, jak tam było posłane moje łóżko, ale wiem, żem spał tej nocy fatalnie! Może to zrobiły wyrzuty sumienia!

„Wuj Prosper umarł w sześć miesięcy potem. Przed śmiercią nie miałem już więcej odwiedzać go w Pibrac z obawy jego ciekawości, jego ironicznych pytań. Napisałem mu tylko, że małżeństwo nie przyszło do skutku i że wstrzymałem się z kupnem kancelaryi w nadziei, że znajdę tańszą. Nie odpowie-

patw—wiadomości są chwiejne. Z niektórych majątków, położonych za Wisłą, dochodzą nas wieści, że kur jest wielka obfitość. Przeciwnie, w okolicach Warszawy po lewej stronie Wisły niektórzy hodowcy narzekają, że widać mnóstwo parek, a stadka są małe — po 6 — 8 sztuk zaledwie.

Jan Sztolcman.

WYPRAWA MYŚLIWSKA
do krainy Massaï.

Przez
Edwarda Trojanowskiego.

(Ciąg dalszy).

Pasażerów I-ej klasy jest nas około dwudziestu, przeważnie wojskowych, których większość dąży w okolice Wielkich Jezior, lub do Ugandy.

Wróciwszy do wagonu, zastałem Hamisa, przygotowującego mi łóżko. Poczciwy ten chłopiec przyniósł mi kilka przepysznych bananów, oraz nadzwyczaj smaczne i soczyste owoce mangowe, zdobyte gdzieś po drodze. Wkrótce też wyruszyliśmy w dalszą drogę. Noc zapadła czarna, pełna mroku i tajemniczości.

Zaledwie pierwsze blaski poczęły zapowiadać wschód słońca, zerwałem się z posłania, na którem owinięty w pled, nieźle noc spędziłem.

Chłodno było bardzo. Wśród mroku jeszcze panującego na świecie, ukazał się step, zrzadka porośnięty akacyami, najeżony złomami kamieni, dzieło wulkanicznych wybuchów. Trawa na stepie od długotrwałej suszy była pożółkła, miejscami spalona. Nigdzie śladu życia ludzkiego.

Linia tej kolei, która łączy najżyźniejszy kraj, jakim jest Uganda, oraz jezioro Victoria, przebiega po swej drodze olbrzymie, dzikie i niezaludnione przestrzenie.

Przed wybudowaniem tej kolei, około dziesięciu lat temu, niebardzo bezpiecznie było zapuszczać się w te strony, ze względu na brak wody, jak również i nadzwyczaj dzikie plemiona murzyńskie, wśród których szczep Massaï głównie się odznaczał. Liczny niegdyś ten naród, zamieszkujący podnóża Kilimand'jaro i góry Kenia, dziś znacznie wyginął i spokorniał skutkiem zarazy bydła, jaka się tu przed kilku laty w straszny sposób szerzyła. Głównem bogactwem Massaï była hodowla olbrzymich stad bydła rogatego, zdobywanych przeważnie na innych plemionach. Massaï nie znają uprawy roli i jedyne ich pożywienie stanowi mięso i mleko.

Gdy więc stada ich ginęły od strasznej zarazy, ginęły i bawoły, których tysiące pasły się na stepach, Massajowie marli głodową śmiercią całemi setkami.

Oprócz Massajów, zamieszkują tu jeszcze plemiona U'Kamba i Kikuyu, z których to miałem dostać tragarzy, Massajowie bowiem służyć tylko mogą za Szikarich, t. j. myśliwców, i pod żadnym warunkiem nie możnaby ich zmusić do niesienia ciężarów, uważają bowiem każdą pracę za największe uchybienie.

Za to w polowaniu są niezrównani; odważni, wytrzymali na trudy i niewygody. Dla Massaï'a przebiedz przestrzeń 60-ciowiorstową w ciągu doby jest poprostu drobnostką. W tropieniu zwierzyny możnaby ich śmiało porównać do dobrych psów gończych.

Spoglądając przez okno wagonu, zauważyłem kilka sztuk antylop z gatunku Hartebeest, wędrujących spokojnie w niewielkiej odległości od toru kolejowego.

Im dalej posuwaliśmy się na zachód, tem częstsze stawały się stada zwierzyny, przeważnie antylopy Granta i Thomsona, oraz dużo gnu i zebr. Na widok ten omałożem nie krzyczał z radości, obiecując sobie nadzwyczajne, myśliwskie rozkosze.

Biegając od okna do okna wagonu, podziwiałem antylopy, które najspokojniej, przyglądając się idącemu pociągowi, nie zdradzały najmniejszego zdziwienia lub obawy. Raz także spostrzegłem w oddaleniu stadko strusi; było ich około 6 sztuk.

Około godziny jedenastej stanęliśmy na stacyi Athy River, tymczasowego celu mojej podróży. Z przyjemnością wyskoczyłem z wagonu, w którym około 24 godzin spędziłem, Hamis był już przy wagonie bagażowym i pomagał gorliwie w wydobywaniu moich pakunków.

Po odejściu pociągu trzeba się było zabrać do uskutecznienia najważniejszej części zadania, t. j. do zwerbowania potrzebnych mi kilkudziesięciu ludzi. Dworzec kolejowy, a właściwie z blachy sklecony domek, zamieszkiwany był przez rodzinę Indusów. Pan i głowa tej rodziny, mówiący nieźle po angielsku i piastujący tu wszelkie godności i urzędy stacyjne, ofiarował mi się przyjść z pomocą.

Narazie można było dostać około 12-tu rosłych i dobrze zbudowanych U'Kamba, zajętych chwilowo przy reparacyi kolei; po resztę potrzebnych mi ludzi, miało się posłać do dużej wsi murzyńskiej, zwanej Matshakos, odległej o 30—40 kilometrów.

Najwcześniej więc mogłem wyruszyć za dwa dni dopiero. Rad byłem jednakże, iż miałem już 12-tu ludzi, z którymi, przy pomocy Hamisa, zaczęły się targi i układy co do czasu i wynagrodzenia. Pertraktacye te wkrótce pomyślnie zostały ukończone.

Trzeba również było pomyśleć o pożywieniu dla mej karawany, albowiem kilka worków ryżu, które z sobą zabrałem, nie na długoby starczyły. Napisałem więc parę słów do misyi, która się również znajduje w Matshakos, i załączywszy kilkanaście rupij, prosząc o przysłanie mi bobu lub kukurydzy przez ludzi dla mnie zwerbowanych. Zaniesienia listów i załatwienia werbunku podjął się służący indyjskiej rodziny.

---

dział mi ani słówka, lecz przed śmiercią zredagował testament, w którym zapisał swej gospodyni dom, winnice, łąki—piękny mająteczek. Wtedy to zostałem handlarzem win z Herault.

„Co prawda, wygrzebałem się z biedy. Zrobiłem wielkie głupstwo i mimo że jestem bardzo surowy w sądzeniu siebie, — czuliśmy, że nasz śmiech przyprowadza go do rozpaczy—tak, bardzo surowy, to jednak, gdy pomyślę sobie, że mogłem do tego dojść z łatwością, do czego doszedłem z taką pracą—ja, leniuch zawołany — i gdy widzę tego durnia, tam w ogrodzie, dumnego ze swych blach, ze swej kuli cynkowej, ze swego syna, czarnego, jak śliwka, ze swej córki, suchej, jak tyka, — rozgrzeszam się i składam całą winę na mego wuja".

Gwizdnął na psa.

„Chodźmy, Fregoli, na polówkę. Wspomnienia te zanadto mnie kosztują!"

A później, pod wpływem południowego charakteru, dodał, zapinając ładownicę wkoło psa:

„Możecie śmiać się, wiele wam się podoba. A tak jak prawdą jest, że Dick, pies Croquet'a, wart jest tylko, żeby mu w łeb palnąć, tak prawdą jest, że wuj Prosper był skończonym łajdakiem.

Spożywszy obiad, przygotowany prze: Toma, który w swych kulinarnych zapędach zgładził żywot kury, nabytej u czcigodnej małżonki mojego chwilowego gospodarza, mimo strasznego jeszcze upału, wyszedłem, by rozejrzeć się troszkę po najbliższej okolicy. Naokoło domku, jak wzrokiem objąć mogłem, rozciągał się step, porośnięty tą samą suchą i żółtą trawą. Środkiem, nieopodal, biegł strumień, w obecnej porze zupełnie prawie suchy, którego brzegi dość gęsto porośnięte były akacyami. Cisza panowała kompletna, przerywana tylko sykaniem szarańczy.

Przez lornetkę dojrzałem stado zebr, było ich około 50 sztuk.

Ziemia formalnie paliła mi się pod stopami z niecierpliwości i bezczynnego oczekiwania, postanowiłem więc, zabrawszy co najpotrzebniejsze rzeczy, jutro ze świtem na czele swoich dwunastu ludzi wyruszyć, i rozłożywszy obóz o kilka wiorst od stacyi, oczekiwać przybycia reszty tragarzy.

Przed wieczorem zjawiło się dwóch Massaiów. Byli to chłopcy lat około 16-tu, smukli, o zawadyackiej, a zarazem sympatycznej powierzchowności.

Przy pomocy nieodstępnego, swojego Hamisa, skwapliwie zaproponowałem im przyłączenie się do mojej karawany w formie szikarich, na co chętnie bardzo się zgodzili.

Hamis, rozmawiając z nimi, nazywał ich „Layoni“, co oznaczało, że nie byli jeszcze wojownikami, którą to godność przy wielkich uroczystościach i ceremonii obrzezania w późniejszym wieku otrzymują i wtedy zwą się „Elmorani“. Za całe uzbrojenie mieli noże przewieszone na cienkich paskach i dzidy całe prawie zrobione z żelaza, bardzo długie i ciężkie. Ubiór ich stanowiły czerwone, wypłowiałe derki, związane na lewem ramieniu, oraz sznurki perełek i muszli na szyi. W uszach, które dziurawią i wyciągają do ramion, pozatykane były grube klocki drzewa, a nawet w jednem połyskiwało próżne pudełko od sardynek!..

Noc więc jeszcze dzisiejszą postanowiłem spędzić na dworcu w małej poczekalni, do której wniesiono moje łóżko obozowe. Poleciwszy Hamisowi wydać moim ludziom kołdry, ktore z sobą przywieźliśmy z Mombassa, zapowiedziałem, że jutro, skoro świt, wyruszamy.

(C. d. n.).

Z życia wilków karpackich.

Skreślił

JAN MARCINKÓW

delegat pow. dolińskiego.

(Ciąg dalszy).

Fura, wracająca wieczorem od kolei, spłoszyla „jegomościów“ od podwieczorku, łanię zostawiły i podążyły do tuż niedaleko stojącego barana zatrutego, — ale chyba tylko po to, aby ów eksperyment pooglądać, śnieg naokoło porozdrapywać, — a skropiwszy miejsca, jakoby na znak, że to coś „niesamowitego“,—poszły za świeżą łanią. Ku wiośnie jednak, kiedy śniegi już prawie na dobre stajały, a jeleni już nie tak łatwo było im chwytać, zagościła mamusia z „dziatkami“ do barana, no i przecież zdecydowała się go skosztować, porwała go tedy na bok i jakie 50 kroków od miejsca, gdzie stał, wyszarpnęła kawałek, który wystarczał, aby ją uśpić snem twardym na wieki.

„Sierotki“ zaś, w liczbie dziewięciu, pozostały bez opieki, a widząc groźną śmierć „mamusi“, stroniły już od barana, jak dyabeł od święconej wody.

Gdy widziałem, że wszystkie moje środki, aplikowane do zwabienia wilków, pozostają bez skutku, wziąłem się do innego fortelu, — a mianowicie do kapsułek.

Skoro znalazłem gdzie rozdartą łanię, nie zatruwałem jej, tylko nakrajałem po kilkanaście sznycelków, wielkości kułaka, i porozrzucawszy je dokoła rozdartej łani, w niektóre włożyłem kapsułki ze strychniną, a te znakomicie działały.

Kapsułki owe robiłem ze stearyny w ten sposób, że, rozpuściwszy świecę Millyego w naczyńku, wtykałem w nią kołeczek grubości palca, wpierw namaczany w wodzie, następnie kilka razy w stearynie,—w ten sposób robi się kapsułeczka nader krucha, którą napełnia się strychniną, a potem zalewa znowu stearyną.

Kapsułki takie wkłada się w kawał rozciętego mięsa i pozostawia się pomiędzy rozrzuconymi, niezatrutymi kawałkami.

Wilk, pochwyciwszy jeden drugi, a może i trzeci kawałek niezatrutego mięsa, chwyta w swej żarłoczności i kawał z kapsułką, połyka lub rozgryza, a wtedy cel osiągnięty.

Czasami wilki i z takimi ochłapami grymaszą, głównie, jeśli są dobrze nażarte; wtedy i ten modus pozostaje bez skutku, bo nim wilk znowu kiedy zagości do tego miejsca, to albo sójki już ochłapy rozdziobią, albo one się zepsują.

Swoją drogą, tego rodzaju ochłapy mięsne można rozkładać tylko wtedy, jeśli mięso nie jest zamarznięte i wogóle niema silnych mrozów, bo w takiej porze nie da się mięso krajać, a tem mniej kruchą, stearynową kapsułkę ze strychniną wpakować w ochłap.

Nim jednak zredukowałem ową zgraję 10 wilków do trzech, mam do zaznaczenia kilka oryginalnych wypadków.

Pozostała pierwotnie para starych wilków, t. j. wilk i wilczyca, wpadły były 15 marca 1898 do oddziału lasu, zwanego „Hłuboki“, a ponieważ w tym roku dosyć wcześnie zaczęły śniegi tająć, w szczególności na południowych stokach gór, więc tamże i jelenie przeważnie się trzymały i żerowały, nocą zaś chwytał silny mróz, około 14° R., tak, że pozostały śnieg w ten sposób zamarzł i wilki mogły po wierzchu chodzić, jelenie zaś załamywały się; trzeba jednak wiedzieć, że na północnych stokach gór śnieg wcale jeszcze nie tajał, a dochodził naówczas do dwumetrowej wysokości.

Para więc tych wilków zapędziła z południowego stoku 14 łań w potok, a biedactwa te w popłochu, chcąc się ratować ucieczką, poczęły umykać na północny stok góry starego porębowiska, naturalnie, że pozapadały się po brzuchy, a wilki z łatwością dopędziły ich i sztuka za sztuką pozacinały, tak, że w przeciągu krótkiej chwili wszystkie 14, mówię czternaście łań, padły ofiarą rozbestwionych żarłoków, przyczem muszę zaznaczyć, że wszystkie były cielne, zatem padło ofiarą właściwie 28 sztuk.

Był to obraz rzeczywiście straszny, o pomstę do nieba wołający, ratunku jednak nie było, wilków nie można było odszukać.

Zatrułem więc wszystkie łanie, które leżały prawie do lata, a wilki ich więcej już nie tknęły. Dla jednej łani zabrakło mi już było strychniny, wobec czego szyję i głowę pozostawiłem niezatrutą. Dopiero w maju zdecydowały się wilki ją ruszyć, jednakowoż tylko na to, aby szyję i głowę zeżreć, a resztę zatrutego ścierwa pozostawić nietkniętem.

W pewnym oddziale, zwanym „pod Szezowną“ spotkałem rozdartą łanię, zatrułem więc resztki.

W kilka dni później poszedłem odwiedzić swoją pracę, niestety, zastałem resztki, zupełnie nietknięte,

w chwili jednak, kiedy zamierzałem wracać do domu, usłyszałem naraz tak piekielne jakieś, nadnaturalne, wściekłe głosy, zmieszane z wyciem, iż myślałem, że znajduję się w pobliżu piekła, a to wilki, w ilości 10, zawyły naraz.

Wilk stary wyje przeciągłym, grubym głosem, jakby ktoś w jaką tubę trąbił, młody wilk podobnie wyje, jak pies, suki zaś szczekają w przeraźliwy sposób, zmieniając głos na jakieś dziwne warczenie i skomlenie, że gdy taka banda, złożona z 10 sztuk, naraz zaintonuje swój hymn, robi się straszna, piekielna wrzawa.

Wsłuchując się lepiej w głosy tej orkiestry po raz pierwszy w życiu, poznałem naturalnie głosy wilków, jednakowoż zdawało mi się, że zgraja ta musi liczyć najmniej 50 egzemplarzy. Jakie uczucie owładnia w takiej chwili człowieka, oddalonego od domu dobre trzy godziny chodu w głębokich śniegach, wpośród dzikiej puszczy leśnej, może sobie łaskawy czytelnik wyobrazić!

„Odwaga jednak zdobi młodzieńca!" Tu nie było czasu dużo się namyślać, odciągnąłem kurki, oglądnąłem się wstecz i na boki, czy wilki nie wyskoczą gdzie znienacka na człowieka, pomaszerowałem wprost na te cudne głosy, których akordy brzmiały przeszło kwadrans!

Postępując więc ostrożnie w sposób opisany, za głosem wilków, zacząłem się zbliżać coraz dalej ku domowi, tak, że wreszcie przyszedłem do domu, nie spotkawszy ani śladu wilków, ani też nie usłyszawszy więcej wielce sympatycznych głosów.

Przybywszy do domu, zapytuję, czy nie słyszano strasznej „Sodomy i Gomory" wilczej, a otrzymawszy przeczącą odpowiedź, podążyłem czemprędzej do strażnika lasowego, ażeby wraz z nim zjednoczonemi siłami wyprawić się na polowanie.

Po jednogodzinnym marszu do góry uboczą lesistą, gdzie wilki poprzednio wyły, usłyszałem je znowu ze zdwojoną siłą głosu, ku swemu niemałemu zdziwieniu, na przeciwnym szczycie do naszego pochodu. W tej chwili więc zawróciliśmy, aby się jaknajprędzej spuścić w dół i podejść ku wilkom. A że to się działo już ku schyłkowi wieczora, było to dość trudne zadanie, tem bardziej, że wilki wyły w wysokości jakich 600 m. nad poziomem kotliny, a w głębokich śniegach wydrapać się na taką górkę nie tak łatwo, jednakowoż postanowiłem na każdy sposób popróbować szczęścia, by przynajmniej zobaczyć tę zgraję. Za godzinę podeszliśmy dość wysoko, jednakowoż śladu wilków nigdzie nie spotkaliśmy.

Gdy już po pewnym czasie zaczęła mnie bezowocna mitręga niecierpliwić, postanowiłem próbować wyć i udawać orkiestrę wilczą, naturalnie tylko w duecie.

Po kilkakrotnem, bezskutecznem wyciu postanowiłem wracać do domu, gdyż już wieczór się zbliżał, a po ciemku zdybać się ze znaczniejszą bandą wilków, nie miałem jakoś najmniejszego gustu. Wtem patrzę, ze szczytu góry sypie banda wilków w susach, jak owce spłoszone; naliczyłem ich dziesięć sztuk.

Siedm sztuk oderwało się i podążyło w susach gąszczami na dół, rozskakując się w różne kierunki, jak plenklery w czasie musztry wojskowej, trzy zaś wilki poczęły walić uboczą wprost na nas; gdy już były od nas na jakie 500 kroków, przybiegły do nich moje 2 jamniki i skoro zobaczyły wilki na przeciwnej uboczy, poczęły szczekać, ku nim biegnąc; będąc jednak w strachu, że wilki rozszarpią mi pieski, począłem świstać; świst mój wilki jakoś zmieszał, tak, że zatrzymały się na chwilę, zawróciły trochę w górę i pousiadały, jak psy, obserwując, co jest podejrzanego.

(C. d. n.)

(„Łowiec").

Gawędy starego myśliwego.

X.

(Ciąg dalszy).

W którym to było roku, nie pamiętam, bo do gub. mohylowskiej jeździłem często, a każda moja tam bytność łączyła się zawsze z różnego rodzaju wycieczkami myśliwskiemi, na których i niejedna ciekawsza spotykała mnie przygoda. Bawiłem tam tym razem czas dłuższy w porze wiosennej. Trafiłem na prześliczną, stałą pogodę i ciepłą temperaturę. W bliskości od dworu miałem wielkie obszary lasu, łąk ze smugami błotnemi, a dalej i ogromne przestrzenie błot i bagien, poprzedzających młyn wodny. Słonek i różnego rodzaju ptactwa błotnego, było tyle, że ilość ich najwybredniejszego nawet myśliwego zadowolnić mogła, to też codziennie prawie polowałem na dubelty, a wieczory spędzałem nad brzegami lasu, na ciągu słonek.

O tamtejszym ciągu słonek pisałem już dawniej, powtarzać się nie chce, a jednak powstrzymać się nie mogę od wspomnienia o tem uroczem polowaniu, odbywającem się wśród usypiającej natury i ostatniego, jakby do modlitwy świergotania ptactwa, bo nietylko zapomnieć niepodobna o tej wprost bajecznej obfitości słonek, jaką spotkałem w gub. mohylowskiej, ale wraz z tem wspomnieniem nastręcza się i myśl inna, mniej wesoła i pożądana dla uczuć miłośnika polowania, czy egzystują tam jeszcze owe wspaniałe tereny myśliwskie z ich dawniejszym zwierzostanem, na których przepędziło się niemało szczęśliwych chwil w życiu, i na które tak wiek podeszły, jak i inne warunki życia podążyć już częściej mi nie pozwalają.

Wobec obfitości dubeltów, znajdujących się na łąkach i brzegach przecinających je smug, a na które, jak to mówią, w lakierowanych trzewikach polować było można, dubeltom tym z konieczności i obowiązku dawało się pierwszeństwo, chociaż od czasu do czasu brnęło się i po największych trzęsawiskach w pogoni za kaczkami i bekasami, a brnęło się chociażby dlatego, że polowanie bez trudów, wysiłku i nawet jakiegoś niebezpieczeństwa nie przystoi prawdziwemu myśliwemu, który nie w ilości strzałów, ale w odszukaniu, uganianiu się i nawet w pewnej ze zwierzem walce szuka prawdziwych wrażeń.

Z dobrym psem, dobrem okiem i łatwym do dubeltów strzałem zabijało się je prawie kopami, w ciągu przeszło trzech tygodni i codziennych, oprócz świąt, wycieczek myśliwskich padło ich wiele setek, tak z mojej ręki, jak i z ręki towarzyszącego mi niekiedy właściciela majątku, a pomimo tego ilość dubeltów nie okazywała się mniejszą; zdawało się, iż przybywały stale jakieś nowe ich zastępy, ażeby zadowolnić przybysza-myśliwego i na zawsze utrwalić w jego pamięci bogactwo tamtejszego zwierzostanu.

Po ogromnych i dziewiczych terenach syberyjskich, wprost rojących się różnego rodzaju zwierzem, nie spotkałem już w życiu polowania na słonki i dubelty, które porównać byłoby można z tego rodzaju polowaniem, w opisanej miejscowości gubernii mohylowskiej. To też opuszczając po raz ostatni owe skarby myśliwskie z których prawdopodobnie korzystać już nie będę, radzę wam, młodzi towarzysze, który z was może, jedźcie tam i przekonajcie się!

Na kaczki i bekasy polowałem tam rzadziej, a było ich tysiące, bo kaczki, wobec dubeltów i bekasów, stanowiły zwierzynę i mniej cenną i mniej pożądaną dla myśliwca, a tak pierwsze, jak i drugie przebywały na większych bagnach i trzęsawiskach,

na które wstęp był nietylko uciążliwy, ale nawet i niezbyt bezpieczny, jak to przekonałem się osobiście.

Po rannem polowaniu na dubelty, dnia pewnego zbliżyłem się do błot większych. Zerwał się bekas, którego zabiłem. Wskutek strzału i prawie z pod nóg moich zerwało się ich kilka, a tem zachęcony, posunąłem się naprzód. Strzelając, o ile tylko zdążyłem broń nabijać, kroczyłem coraz dalej i w tym zapale myśliwskim, jakiego prawdopodobnie doświadczał z nas każdy, nie czułem zmęczenia i nie zwracałem uwagi na coraz to większą głębokość błota, a z zapału tego ocuciłem się dopiero wtedy, kiedy niespodziewanie znalazłem się zanurzony w błoto powyżej pasa. Na szczęście pod nogami trafiłem na grunt twardszy, który pozwolił mi powstrzymać się od zapadania głębiej, w przeciwnym bowiem razie, chociaż na pobojowsku, ale zginąć mogłem.

Pierwsze wysiłki wydobycia się na powierzchnię były daremne, bo zmęczenie, które teraz odczułem, odebrało mi siły, a w dodatku zwiększył się i ciężar mego ciała przez zamoczenie błotem całego odzienia, jeszcze z amunicyą i torbą ze sporą ilością zwierzyny. Po kilkakrotnych i bezowocnych wysiłkach trzeba było wypocząć i przygotować się do dalszej walki, bo położenie moje stało się niebezpiecznem. Na znak alarmu wystrzeliłem dwa razy z nabitej broni, krzyknąłem kilka razy, o ile mogłem najgłośniej, strzały zaś dalsze były niemożebne, z powodu zabagnienia amunicyi, a zresztą i znaczenia tych strzałów nikt zrozumiećby nie mógł. W blizkości nie było żadnych siedzib ludzkich, wśród kęp sitowia i innych roślin błotnych dostrzedz mnie i psa mego było niełatwo, głos mój ginął bezpożytecznie wśród wielkich i bezludnych obszarów, dzień zbliżać się zaczął ku końcowi, a pies, którego powrót do domu mógłby zgotować mi pomoc, odstąpić odemnie nie chciał.

Po dłuższym wypoczynku i zoryentowaniu się, w którym kierunku ratować się należało, ażeby nie wpaść, jak to mówią, z deszczu pod rynnę, znalazłem około siebie solidniejszy podkład dla położonej na powierzchni broni, zdjąłem z siebie pas z amunicyą i torbę ze zwierzyną, i opierając się na broni, zacząłem dźwigać się na powierzchnię z trzymających mię więzów, posuwając broń przed sobą. W ten sposób wydobyłem się powoli na wierzch i leżąc na brzuchu, posuwałem się naprzód jakieś dziesięć kroków, gdzie, na szczęście, znalazłem już grunt twardszy, pozwalający mi powstać na nogi i dojść do brzegu, okalającego bagno.

Pomimo rozpoczynających się już ciemności nocnych, zmuszony byłem dłużej tu wypocząć i dopiero w nocy powróciłem do domu, ale wśród tego wypoczynku nasłuchałem się, jakby w nagrodę, śpiewów różnego rodzaju ptactwa, tak miłych dla ucha myśliwego, które, po przebytych trudach i niebezpieczeństwie, wydały mi się jeszcze więcej urocze, niż kiedykolwiek, i których słuchałbym chętnie i dłużej, gdyby w ten sposób dał się i głód zaspokoić.

Skończyło się wszystko na stracie pasa z amunicyą i torby z zabitą zwierzyną, bo odnaleźć się już nie dały, a i szukać ich bezpiecznie nie było.

Dla mnie z tego wypadku pozostało to tylko wspomnienie, i powróciłbym chętnie na owe bagna z bekasami i dziś jeszcze, albowiem bogactwo zwierzyny na tych bagnach, jeżeli istnieje i dotąd, sowicie wynagrodziłoby wszelkie trudy i niebezpieczeństwa polowania.

Czy jednakże zdobyta w ten sposób nagroda wystarczyłaby wszystkim z myśliwych młodszego pokolenia, przesądzać nie chcę, chociażby i dlatego, że w sporcie myśliwskim mieści się jakaś niezwykła siła przyciągająca, która nowych adeptów sportu, po pierwszych zaraz próbach, krępuje i więzi na zawsze.

L. Łasacz.

(C. d. n.).

Z POZNAŃSKIEGO.

(Przegląd półrocza 1907).

Zima ubiegła była w Poznańskiem bardzo dotkliwa aż do samego końca marca. Mimo to, zwierzyna zniosła ją na ogół dobrze. Na szczęście bowiem śnieg nie utworzył straszliwej krusty, która nie pozwala wcale zwierzynie żerować.

Aczkolwiek pierwszy miot zajęcy nieco ucierpiał, zwłaszcza na nizinach, jednakże, jak się obecnie pokazuje, szaraki rozmnożyły się bardzo wybitnie. Również dobrze przezimowały bażanty i kuropatwy. Te ostatnie odbyły swe lęgi w lasach wysokopiennych, natomiast bażanty przebywały wtenczas na polach. Dla królików zima ostatnia była niepomyślna; ubyła ich bardzo znaczna liczba. Oprócz zimy, tępiły je dość obficie znajdujące się w rewirach króliczych drapieżniki.

Na wiosnę był bardzo dobry ciąg słonek, aczkolwiek nieco spóźniony. Również opóźniły się bardzo inne ptaki wędrowne, wskutek chłodnej pogody kwietniowej.

Jaskółek jest tu mniej z każdym rokiem; ostatnio ucierpiały one bardzo dotkliwie; a wiele z nich zdechło z głodu. Sporo za to zjawiło się w pierwszych dniach maja wilg, słowików, drozdów, dzierzb, dudków i turkawek.

W końcu kwietnia był udatny tok cietrzewi, których zresztą jest tu coraz mniejsza liczba.

Polowanie na kozły otwarte zostało 10 maja. Ubite dotychczas kozły nie odznaczały się ładnymi rogami, które się tu obecnie wogóle nie udały na punkcie siły i uperlenia.

Jelenie spotyka się tu dość często i nieprędko trzeba będzie narzekać na ich ubytek. Jedynie w leśnictwie Krotoszyńskiem, należącem do księcia Thurn-Taxis, słychać o znacznem zmniejszeniu się liczby jeleni. Wybito je częściowo dlatego, że wyrządzały znaczne szkody w poblizkich polach. Zarząd lasów książęcych wypłacał rocznie odszkodowanie w sumie od 60 do 70 tysięcy marek.

Wracając do sarn, wspomnieć należy, że linienie ich ciągnęło się tego roku bardzo długo. Jeszcze w połowie czerwca można było tu zauważyć sztuki, które miały zupełnie wytartą sierć.

Pomimo tępienia lisów, mnożą się one tutaj i wyrządzają szkody większe, niż dawniej. Jeden z gajowych złowił i ubił w przeciągu krótkiego czasu 18 lisów, śród których było kilka starych. Lisy wytępiły tu sporo gniazd kuropatw i bażantów. W pewnej wsi goniono lisa, który, zamiast uciec w pole, wpadł do kuchni dworskiej, gdzie, naturalnie, życiem przypłacił omyłkę.

Były tu w krótkim czasie dwa wypadki z bronią. Obywatel ziemski S. podchodził kozła w towarzystwie brata i oficyalisty. S. pozostał na przesmyku, gdy tamci dwaj weszli w zboże, by ztamtąd wypłoszyć kozła. S. postawił na chwilę strzelbę, która wypaliła, kładąc go trupem prawie na miejscu.

Drugi wypadek przytrafił się gajowemu w majątku Przygodzice, należącym do księcia Radziwiłła. Ażeby zasłonić broń przed deszczem, gajowy, Krawczyk, z Kęsicy ukrył ją w kupie chróstu, kolbą w dół. Przy wydobyciu strzelby nastąpił wystrzał

i nieostrożny człowiek, trafiony kulą, zmarł po upływie 3 i pół godziny.

Na zakończenie przytaczamy fakty z życia kłusowników w Poznańskiem. Gospodarz Stanisław Dyba ze Stanisławowa pod Kromolicami w obwodzie Kośmińskim, stanął przed sądem w Krotoszynie, jako oskarżony o zawodowe kłusownictwo. Akt oskarżenia opiewał, że Dyba od wielu lat uprawia ten proceder, unikając ciągle karzącej ręki sprawiedliwości. Nareszcie przyłapano go którejś niedzieli o g. 3 ej m. 15 nad ranem pod Kuklinowem na gorącym uczynku. Przydybał go gajowy Wilakowski. Podczas rewizyi, dokonanej u Dyby w mieszkaniu, znaleziono strzelbę rozbieraną i wielki zapas amunicyi. Sąd skazał go na rok więzienia, oraz na oddanie pod dozór policyi.

Pod tymże Krotoszynem dwaj gajowi usłyszeli nagle dwa wystrzały. Po przeszukaniu miejscowości, znaleźli dwa jelenie zabite. Ponieważ nie widzieli nigdzie myśliwego, gajowi ukryli się, czatując na tego, który przyjdzie zabrać jelenie. Po 8-godzinnem wyczekiwaniu zjawił się syn gospodarza z Roszki, Smok, który oglądał oba jelenie i oddalił się pośpiesznie. Po upływie jeszcze pięciu godzin zjawiło się dwóch ludzi z drągami, którzy wzięli jelenie, w celu uniesienia z sobą. Gajowi wówczas wyszli z kryjówki i zaaresztowali obydwóch. Okazało się, że to są synowie znanego kłusownika, Józefa Smoka z Roszki. Jeden z nich był już raz karany za kłusownictwo.

J. K.

Odczyt ces. radcy Hubera

dnia 1-go lipca 1907 r.

w sali Gal. Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

W r. 1910 ma przyjść do skutku w Wiedniu międzynarodowa wystawa łowiecka, której zadaniem będzie przedstawić naocznie gospodarczą wartość polowania we wszystkich prowincyach.

Wrogie usposobienie, na które polowanie wszędzie napotyka, usiłowania, aby je w drodze ustaw i rozporządzeń ścieśnić i by mu, o ile to możliwe, upadek zgotować, natchnęły wielką liczbę wybitnych łowców austryackich myślą, by urządzić w Wiedniu międzynarodową wystawę myśliwską.

Celem wystawy tej jest: przedstawić oczom przeciwników polowania gospodarczy pożytek, który polowanie przynosi tym krajom, w których je uprawiają i kultywują, przedstawić, jak znacznie jest interesowaną sztuka, obrót handlowy, przemysł i rzemiosła, niemniej ludność krajowa wogóle w utrzymaniu polowania, wreszcie jaką wprost nie do uwierzenia korzyść mają te koła interesowane z wykonywania polowania.

Z wiedzą, czy też bezwiednie przedstawiają polowanie, jako instytucyę, nadwerężającą gospodarstwo rolne i lasowe, a właśnie międzynarodowa wystawa ma wykazać i wykaże, jak kruche są te twierdzenia i jak wskazanem jest wprost przeciwne postępowanie, t. j. utrzymanie i ochrona polowania.

Wobec tego należy międzynarodową wystawę łowiecką r. 1910 w Wiedniu pojmować jako powszechną demonstrancyę na korzyść łowiectwa i co za tem idzie, musi każdy prawdziwy myśliwy wszelkimi rozporządzalnymi środkami wspierać dojście do skutku tego przedsiębiorstwa i iść mu na rękę.

Wystawa międzynarodowa w r 1910 w Wiedniu nietylko że ziści cel jej wskazany w całej pełni, lecz ponadto będzie jednem z najbardziej udatnych i na wielkie rozmiary obmyślanych urządzeń, które Austrya kiedykolwiek widziała.

Przytem należy nadmienić, że jeszcze w żadnym innym kraju nie urządzono podobnej wystawy, że zatem Austrya będzie pierwszym krajem, który tak oryginalne przedsięwzięcie powoła do życia.

Dzięki staraniom komitetu przygotowującego, stała się myśl urządzenia międzynarodowej wystawy w 1910 r. w Wiedniu wszędzie znaną, obecnie należy dołożyć poważnych starań, by wystawa rzeczywiście doszła do skutku, by ewentualnie inne, mniej do tego celu powołane państwo, nie podjęło się przeprowadzenia tego projektu.

Wszędzie za granicą, gdziekolwiek komitet przygotowywujący starał się zbadać usposobienie co do udziału w wystawie, znalazł je nietylko ochoczem, lecz formalnie entuzyastycznem dla obesłania wystawy; zatem jesteśmy zapewnieni co do udziału Ameryki, Belgii, Kanady, Niemiec, Anglii, Francyi, Holandyi, Włoch, Rosyi, Szwecyi i Norwegii.

Fakt ten stwierdza, że wszędzie przenoszą międzynarodowe wystawy specyalne nad wystawy powszechne, obejmujące wszystkie gałęzie, t. zw. światowe, w których niechętnie uczestniczymy, gdyż tak się stosunki ułożyły, że wystawy te robią wrażenie, jakoby się przeżyły.

Austrya brała udział w ostatnich latach kilkakrotnie w międzynarodowych wystawach zagranicznych, lecz, niestety, nie dostało się jej w udziale między wystawcami owo miejsce, któreby się jej, ze względu na powagę i znaczenie jej sztuki, przemysłu i rzemiosł, niewątpliwie należało, a to wyłącznie z tego powodu, że środki, stojące do dyspozycyi dla tych celów, były po największej części niewystarczające. W ten sposób, abstrahując już od tego, że przytem, może nie zupełnie odpowiednio celowi, pieniądz austryacki wędrował za granicę, pozostawiał wynik tego uczestnictwa z natury rzeczy wiele do życzenia.

Natomiast międzynarodowa wystawa łowiecka w Wiedniu w r. 1910, wskutek uczestnictwa państw obcych i wielkiego napływu zamożnych cudzoziemców, przyniesie nam znaczne środki pieniężne, a ponadto da sposobność krajowym wystawcom przedstawić oczom międzynarodowej publiczności swe wytwory i to stosunkowo przy jaknajmniejszych kosztach i — *last not least* — umożliwi nam austryacki dział tej wystawy wyposażyć godnie, jako dzieło naszego państwa.

Jeżeli niedawno w pewnej wielkiej korporacyi wiedeńskiej twierdzono, że projektowana, a niedoszła do skutku jubileuszowa wystawa w Wiedniu w r. 1903 równa się dla Austryi ubytkowi 50 milionów koron, to słusznie zupełnie można utrzymywać, że międzynarodowa wystawa łowiecka, da, pod względem gospodarczym jeszcze korzystniejszy, finansowy wynik, gdyż obeślą ją wszystkie kraje i z pewnością zwiedzą ją w wielkiej liczbie myśliwi wszystkich części świata.

Właściwe prace przy samej wystawie mają być podjęte już w marcu 1908 r., a do tego czasu ma być zrealizowane założenie ogrodów, ulic, dróg i t. d. Wystawa ma się otworzyć 15 maja, a 15 października ma się ukończyć, zatem ma trwać 5 miesięcy. Przeznaczona na wystawę przestrzeń, mająca około 500,000 m.^{2}, obejmuje: rotundę w c. k. praterze (mającą służyć, jako pałac przemysłu dla wystawy przemysłu i rzemiosł, stojących w związku z polowaniem), niemniej kompleksy ogrodów, otaczających rotundę aż do głównej alei, które będą zużytkowane dla wystawy czysto myśliwskiej.

W ogólnem urządzeniu wystawy tkwi myśl, by każdy naród, biorący udział w wystawie, także austryacki, na wyznaczonem sobie miejscu w ten sposób przedsięwziął wystawę, by wystawy poszczególnych krajów były pomieszczone w budynkach, kosztem tych krajów w tym celu wystawionych. Bu-

dynki te będą przedstawiać słynne, historyczne zamki łowieckie, lub też typy domków łowieckich, właściwych wedle zwyczaju każdemu z krajów, a w których ponadto pożądane byłoby umieszczenie restauracyj, o narodowym charakterze.

Wystawa ta obejmie wszystko, co się odnosi do polowania, do jego utrzymywania i pieczy o nie, w szczególności zaś wszystkie środki, zdolne uwidocznić historyczny rozwój polowania i jego społeczno-gospodarskie znaczenie.

Wystawa ta będzie zawierać także przedmioty naukowe i szkolne, wytwory sztuki, sztuki stosowanej, z zakresu leśnictwa, uprawy roli i wina, o ile one stoją w łączności z łowiectwem, niemniej przedmioty przemysłu i rzemiosł, jeżeli mają jakikolwiek związek z polowaniem.

Wystawa każdego uczestniczącego państwa powinnaby zawierać:

1. Etnograficzny i historyczny dział polowania, jego wykonywanie, używaną w tym celu broń, przyrządy, sposoby łowienia etc., to znaczy przedstawienie stopniowego rozwoju polowania od jego zamierzchłych czasów aż do nowoczesnego sposobu łowów i używanych do tego środków.

2. Wystawę łowieckich trofeów wszelkiego rodzaju, rogów i różków, kłów i szponów, skór, ze szczególnem uwzględnieniem zaszłych nieprawidłowości.

3. Wystawę preparowanych, do polowania należących zwierząt i wystawę zwierząt żywych.

4. Wystawę broni myśliwskiej.

5. Wystawę obrazów myśliwskich, przedstawienia, odnoszące się do polowania jakiegokolwiek rodzaju (rzeźby), wreszcie wytwory sztuki stosowanej, dotyczącej myślistwa.

6. Wystawę domków myśliwskich i ich urządzenia.

7. Wystawę ubiorów dla celów myśliwskich, obok wystawy przynależytości wszelkiego rodzaju (utensylia podróżne, namioty, towary białoskórnicze etc.).

8. Wystawę koni do polowania, zwierząt jucznych etc. (do tego należące siodła, tręzle i t. d.).

9. Wystawę wehikułów łowieckich wozów, czółen do polowania, ze szczególnem uwzględnieniem pojazdów, motorem poruszanych, automobilów etc. i przemysłu, w ten zakres wpadającego.

10. Czasowe wystawy psów myśliwskich, wszystkich ras i klas.

11. Wystawę naturalnych i sztucznych środków karmy dla zwierzyny, psów i koni.

12. Wystawę szkół myśliwskich, ich urządzenia, środków naukowych etc.

13. Wystawę graficznych i statystycznych dat co do stanu zwierzyny, niemniej wystawę planów, rewirów, ze względu na urządzenia łowieckie.

14. Wystawę przedmiotów i środków pomocniczych, służących do wykonywania polowania, utrzymywania zwierzyny i pieczy o nią, ze szczególnem uwzględnieniem środków, używanych przy polowaniach egzotycznych.

15. Przedstawienie zrządzanych przez zwierzynę szkód i expozycyę środków do ich usunięcia.

16. Przedstawienie rozmaitych rodzajów kłusownictwa i środków w tym celu używanych.

17. Wystawę, dotyczącą dostarczania zwierzyny, jako środka żywności i pozostające z niem w związku spieniężanie zwierzyny.

18. Wystawę turystyki i ruchu obcych.

Wystawa ponadto ma nastręczyć sposobność do zwoływania międzynarodowych kongresów łowieckich, na których mają być roztrząsane wszystkie, świat łowiecki wogóle zajmujące kwestye. Dalej mają się odbywać w czasie wystawy specyalne (czasowe wystawy trofeów etc.) ubiegania się o pierwszeństwo, strzelania myśliwskie, międzynarodowe strzelanie do glinianych gołębi i kul szklanych, czasowe wystawy żywych zwierząt (koni myśliwskich, zwierząt jucznych, psów etc.) przedstawienia muzyczne (współzawodnictwo muzyk myśliwskich różnych krajów).

Za podstawę dla organizacyi wystawy będą służyły, jakkolwiek tylko w przybliżeniu, ustrojowe normy wystawy paryskiej z r. 1900. Ogólna klasyfikacya wymieni przedmioty, mogące być wystawione.

Wszystkie narody zostaną oficyalnie do obesłania wystawy zaproszone.

Dla zapewnienia przyjścia do skutku wystawy, tworzy się wielki komitet, który ze swego łona wybierze komitet wykonawczy. Ten ostatni wraz z komitetami poszczególnych grup, z generalnym sekretarzem, który ma być wybrany, i z głównym architektem wystawy, ma zadanie przywiedzenie wystawy do skutku. Obce państwa, uczestniczące w wystawie, tworzą również w swych krajach komitety, których zadaniem jest urządzenie ich wystaw. Komisarz każdego kraju, delegowany do centralnego komitetu, pośredniczy w obrocie między swym krajem a komitetem państw zagranicznych i stara się o doprowadzenie do skutku właściwej wystawy.

(„Łowiec“). *(Dok. nast.).*

KOCZUJĄCA ZWIERZYNA.

W stepach Afryki żyje wiele zwierząt kopytnych, między innemi różne gatunki dzikich koni, z których wyróżnia się z powierzchowności pręgowana zebra. Przebywają tam lekkie, zręczne antylopy, przypominające po części kozy, wreszcie zwierzęta różnej wielkości, z prostymi i zakręconymi rogami i z rozdwojonemi kopytami. Zwierzęta te koczują stadami w stepach karmiąc się bujną, wysoką trawą, i żyjąc życiem towarzyskiem. Młodzież korzysta z doświadczenia starszych, silniejsze samce bronią stada od niebezpiecznych wrogów — zwierząt i człowieka, gdy samice w takich razach zbierają dzieci koło siebie w zwartą gromadę. Stada takie wspólnie wyszukują sobie pożywienia, wspólnie wybierają miejsce na odpoczynek, podczas którego doświadczeńsze zwierzęta stoją na straży. Swobodne mają życie zwierzęta na rozległych stepach, dopóki nie nastąpią straszne upały letnie, właściwe tym stronom. Słońce niemiłosiernie spala trawę, wysusza mniejsze jeziora i rzeczki i wtedy wspaniały step staje się bezwodną pustynią. Trawa żółknie i schnie, z rzeczek powstają rowy, napełnione ciepłą wodą stojącą. Warunki życia się zmieniają: coraz mniej pokarmu, coraz większy brak wody; ciężkie staje się życie zwierząt, dzikich koni, antylop i innych.

Z nadejściem pory skwarów letnich, rozpoczynają się dalekie wędrówki mieszkańców stepu. Niewielkie przedtem stada, coraz bardziej się powiększają; do jednego stada przyłącza się drugie i trzecie. Z końmi mieszają się antylopy, a niekiedy i wielkie ptaki afrykańskie,— strusie, i takie mieszane stado ciągnie, w poszukiwaniu wody i świeżej, niespalonej jeszcze trawy. Obecność strusiów w stadzie czworonogów przynosi pożytek jednym i drugim. Wysokie strusię zdala dojrzą skradającego się wroga i niepokojem, ujawnianym wtedy, wskazują go zebrom, które znowu łatwiej mogą odpierać napady drobnych drapieżników, i broniąc siebie, ocalają tym sposobem i strusie.

Z nadejściem pory deszczowej zaczyna się ruch powrotny. Gdy stepy znów się zazielenią i rzeki na-

pełnią wodą powracają znowu na dawne miejsca, stada rozbijają się na mniejsze i zaczyna się spokojne koczowanie po stepie, z miejsca na miejsce, dopóki nie przyjdzie skwarne lato.

Zupełnie podobny tryb życia prowadzi pewien gatunek dzikich koni, przebywających w stepach środkowo-azatyckich. Są one podobne do konia i do osła; niewielkiego wzrostu, piękne, zręczne, mają bardzo lekki i szybki bieg. Głowa ich wielka, sierć jasna, srebrzysto-żółta z ciemno-brunatnym pasem wzdłuż grzbietu. Ogon gładki z pękiem włosów na końcu, przypomina ośli. Konie te żyją w stepach południowej Syberyi, Turkiestanu, Mongolii i na równych płasko wzgórzach Tybetu. Wiosną pasą się niewielkiemi gromadkami, latem zaś zaczynają się zbierać w większe stada. Ciągłe powiększanie się stad pochodzi stąd, że samce upędzają się za samicami i takie współzawodniczące z sobą stado, w którem odbywają się ciągłe walki, z hałasem przebiega step w różne strony. Stada spotykają się, łączą z sobą, i tak powiększone, ciągle pędzą już dalej razem po stepie, dochodząc nieraz do tysiąca sztuk i więcej. Stopniowo walki pomiędzy samcami ustają, pokarmu zaczyna braknąć i bezplanowa gonitwa po stepie w różnych kierunkach, staje się zwolna prawidłową wędrówką. Ze środkowych części stepu stada kierują się na kresy, skąd przedostają się w góry, gdzie więcej wody i trawy. Z wiosną zaczyna się wędrówka powrotna, przyczem większe stada znów rozpadają się na drobniejsze.

Na wzór wędrówek tych zwierząt, odbywały się 70 lat temu podróże ogromnych stad bizonów z południa na północ stepów Ameryki Północnej. Dziś niema już prawie tych wielkich, mocnych byków. Wytępili je zawzięcie wrogowie—ludzie, zabijając całymi tysiącami. Dopóki za bizonami uganiali się tylko dzicy Indyanie, czerwonoskórzy krajowcy Ameryki, z ich pierwotnemi strzałami i dzidami, bizony żyły sobie dość spokojnie na olbrzymiej przestrzeni stepów Ameryki Północnej. Ale gdy stepy zaczęli odwiedzać biali z bronią palną, zakładać fabryki i ludne miasta, bizonom zaczęło być ciasno. Poprzednie polowania Indyan ustąpiły miejsca istnym rzeziom, a pociągi kolei żelaznych rozpraszały stada bizonów.

Stepy zamieniono na pola, powstawały wszędzie miasta i wioski, i bizony zaczęły wymierać; obecnie zachowały się one w nie ielu tylko zakątkach stepów północno-amerykańskich, oraz w parku Narodowym w Yellowstown, t. j. w miejscach, gdzie mają nad nimi pieczę i nie pozwalają polować na nie, jak to zastosowano również do najbliższych krewnych bizonów—żubrów, przebywających jeszcze w niewielkiej liczbie w puszczy Białowieskiej i na Kaukazie. Niegdyś stada bizonów składały się z wielkiej liczby sztuk; tysiącami krążyły zwierzęta te po stepach, pod ochroną silnych, doświadczonych samców. Latem stada koczowały w stepach północnych, jesienią przechodziły na południe. Odbywało się to co rok. Stada szły, nie śpiesząc się, odpoczywając na dogodniejszych, obfitych w pokarm miejscach; podczas takich przystanków przyłączały się do nich inne stada. Im bliżej szło ku zimie, tym dalej na południe posuwały się bizony, uciekając od chłodów, zawiei i głodu zimowego. Wiosną wracały z powrotem na północ, uchodząc od skwarów letnich, ze spalonych przez słońce miejscowości, w których już niewiele pozostało pokarmu.

Doroczne wędrówki bizonów pociągały za sobą emigracyę niektórych innych zwierząt, np. pewnych gatunków szpaków, które zazwyczaj towarzyszą wielkim ssakom, karmiąc się jajeczkami i poczwarkami owadów, mieszczącemi się nieraz w ranach czworonogów. Za stadami bizonów ciągnęły też wilki amerykańskie, śmiało napadające na słabsze, ranione lub chore bizony, lub na pojedyńczych maruderów. Za tropami tych zwierząt ciągnęli i ludzie — czerwono-skórzy Indyanie — z całym swoim dobytkiem domowym.

Wędrówki bizonów odbywały się zawsze, w określonym porządku: następowały z roku na rok, według stałego kierunku, po jednych i tych samych drogach, znanych ludziom stepowym pod nazwą „bizonich szlaków". Stare bizony, które już nieraz szły temi drogami, prowadziły młodych, niedoświadczonych jeszcze towarzyszów, i tym sposobem znajomość dróg przechodziła z pokolenia na pokolenie. W stadach zachowywany był porządek wzorowy. Na czele stał najsilniejszy, doświadczony, stary bizon, posiadający nieograniczoną władzę nad stadem; nieposłuszni podwładni musieli wieść z nim bój zażarty, który zazwyczaj kończył się dla nich smutnie. Jeżeli jednak wódz stada został zwyciężony, wtedy ustępował miejsca zwycięzcy, który też obejmował dowództwo nad stadem. W razie napadu na stado, broniły go samce. Cielęta ustawiały się w środku, dokoła nich krowy z rogami, zwróconymi nazewnątrz; ostatni pierścień dokoła stada tworzyły byki. Opuściwszy nizko łby, gotowe wziąć na rogi każdego wroga, stanowiły one żywą twierdzę. Częstokroć same atakowały nieprzyjaciela, któremu wtedy groziła śmierć niechybna, jeśli nie zdążył ujść w porę. Dopiero broń palna sprowadziła zagładę na tych olbrzymów stepowych.

Na dalekiej północy Ameryki, a również w tundrach Europy i Azyi, pasą się rodzinami renifery vel reny *(Cervus tarandus)*. Przy zbliżaniu się długiej i surowej zimy, rodziny renie zaczynają się łączyć w stada. Z początku tworzą stada samice z młodemi, później przyłączają się do nich młode samce, wreszcie stare reny, które w lecie przeważnie wiodą samotny żywot. Tak powiększone liczebnie stado kieruje się na południe, do miejscowości, w których mniej śniegu i gdzie łatwiej wygrzebać z pod niego nędzny mech, pokrywający tundrę. Jedno za drugiem ciągną te stada, w niewielkiej od siebie odległości, po znanych sobie drogach, jak bizony. Za niemi suną drapieżniki: wilk, piesiec (lis podbiegunowy), niedźwiedź, wreszcie i ludzie, koczujący w tundrach, z całym swoim dobytkiem i stadami domowych, oswojonych renów.

Wiosną następuje wędrówka powrotna, znajdująca się w ścisłej zależności od zjawienia się komarów i innych owadów, będących istną plagą w tych krajach. Renifery uciekają na północ od tych dręczycieli, kierując się ku wynioślejszym miejscom tundry, gdzie owadów mniej.

Renifery odbywają niekiedy wędrówki na dalekie przestrzenie, przechodząc nawet przez zamarznięte morze z Grenlandyi do Ameryki Północnej i z powrotem, przyczem wypada im przechodzić przez liczne wyspy i cieśniny, znajdujące się na północy Ameryki.

Na tych wyspach, jak również na lądzie, nad cieśniną Hudsona i na wybrzeżu Grenlandyi, żyje godne uwagi zwierzę—byk piżmowy, podobny nieco do byków, po części zaś do owiec. Dochodzi on wielkości średniego byka, głowę ma krótką, szeroką, rogi grube krzywe, rozłożone nie tak, jak u zwykłych byków, zakrywają one bowiem swemi szerokiemi podstawami całe czoło i ciemię, schodząc się w samym środku czoła. Całe ciało pokryte siercią, składającą się z prostych, ciemno brunatnych, miękkich włosów i właśnie ta długość sierci nadaje zwierzęciu podobieństwo do owcy. Szyja i pierś są pokryte jeszcze dłuższymi włosami, tworzącymi jakby grzywę, a z boków włosy zwieszają się do połowy nóg, na grzbiecie sierć krótka i stercząca. Piżmowemi nazywają się te byki dlatego, ponieważ wydają silny zapach piżma, pochodzący z wydzielanego przez specyalne gruczoły płynu piżmowego.

Międzynarodowy konkurs strzelecki.

Doroczny konkurs strzelecki międzynarodowy w Niemczech odbył się w r. b. w miasteczku pruskiem Zielinzeg, a był tem ciekawszy, że uczestniczył w nim także Polak, p. Zakrzewski, oraz jedna pani i jedna panna; wszyscy zaś troje otrzymali nagrody. Doroczny ten konkurs odbywa się za każdym razem w innej miejscowości, a udział w konkursie wziąć mogą strzelcy różnych narodowości.

Pierwszy konkurs stanowił strzelanie do gołębi glinianych. Każdy strzelał do 100 sztuk, z czego do 25 na 14 metrów, 25 na 16 m., 25 na 18 m. i 25 na 20 m. Pierwszą nagrodę wziął A. Rohrbeck z Zielenzig; wynosiła ona 500 marek i dyplom honorowy; strzelał z dubeltówki kal. 12, amunicya była „Saxonia-Eilers". Trafił 77 sztuk. II Koch z Derneburg, dubeltówka kal. 12, „Saxonia-Original", 74 sztuk, 250 m. III Doetsch z Sondersleben, śrótówka Browninga i dubeltówka, „Saxonia Browning", 72 sztuki, 125 m. IV Eilers z Rostock, śrótówka Browninga, „Saxonia-Eilers", 72 szt., 75 m. V Stuehmke ze Stecklin, dubeltówka kal. 12, „Sax Eilers" 72 szt. 50 m. VI Stusche z Neische, dub. k. 12, „Guettler-Adler" 70 szt., 40 m. VII Schaifler z Neusorge, dub. kal. 12, „Hasloch—Fasan", 66 szt., 30 marek.

Następnie interesujące było strzelanie do 60 gołębi glinianych, w którem wzięło udział 30 osób. Nagrody były bardzo wysokie, uczyniły bowiem razem 2,500 m. Pierwszą wziął Koch za 57 trafionych, II Doetsch 56, III Stuche 55, IV Zakrzewski 53, V Rohrbeck 53, VI Stuehmke 53, VIII Schaifler 51, VIII Dorn 49.

Dalej był konkurs o 20 gołębi glinianych. Pierwszą nagrodę wziął Dorn za 16, II Stuehmke 16, III Castenholz-Schoenebeck 15, IV Koch 15, V Zakrzewski 15, VI Folger 14, VII Wegener 13, VIII Doetsch 12.

Pozatem były prywatne match'e i pojedynki. Razem tego dnia strzelano do 6,000 gołębi.

W konkursie strzelania do przebiegającego odyńca wziął I nagrodę Grimm za 30 punktów, II Grosze za 30, III Stusche za 30, IV Piosczyk (zapewne polskie nazwisko) 31, V Herzberg 31, VI Damm 32, VII Sauerwald 34, VII Wegner 36, IX Rohrbeck 36.

Do biegających zajęcy: I Koch za 40 trafionych (wszystkie), II Zakrzewski 35, Grosze, Dorn i Damm po 35, Stusche 33, Doetsch 26, Buhse 23, Schnorr 19.

Do sarny: I Piosczyk za 21 punktów, Wegner 24, Grosze 30, Crimm 30, Roegener 31, Buhse 32, Herzberg 38, Duehring 35.

Do tarczy: I Piosczyk 23 punktów, Roegener 26, Castenholz 30, Stusche 38, Wegner 38, Damm 39, Buhse 41.

Konkurs pistoletowy: I Wegner 64 punktów, Buhse 65, Piosczyk 104, Peikert 134, Windolff 142, Rohrbeck 160, Duehring 165.

Specyalny konkurs damski: I pani Rohrbeck 51 punktów, Neubauer 59, Tobye 63, Roegener 64, panna Kynast 85 panna Huffnagel 166, panna Ihrke 171.

Konkurs pocieszenia: I Damm 17 punktów, Schaifler 21, Doetsch 25, Buhse 25, Windolff 26, Duehring 28, pani Neubauer 24, Dorn 34, Sauerwald 37.

Kongres myśliwski.

Po zamknięciu wystawy myśliwskiej w Antwerpii, o której to wystawie daliśmy swego czasu obszerniejszy artykuł w „Łowcu Polskim", odbywał się tamże międzynarodowy kongres myśliwski, któremu przewodniczył senator, hrabia Ribaucourt. Na kongres przyjechali delegaci wszystkich większych mocarstw europejskich, oraz przedstawiciele Grecyi, Hiszpanii, Luksemburgii, Chili, Urugwaju, a nawet Persyi.

Najbardziej interesującym tematem była sprawa ochrony ptaków, szczególnie przepiórek i słonek. Jest nadzieja, że dążenia w tym kierunku dadzą taki wynik, iż usunięte zostaną, albo przynajmniej ograniczone nadużycia w łowieniu ptaków, stosowane, jak wiadomo we Włoszech i Grecyi, a po części także w Belgii. Nie wszyscy bowiem wiedzą zapewne, że na jesieni w Belgii na każdym jadłospisie restauracyjnym znajduje się potrawa, zwana „Drobne ptactwo", a złożona z sikor, zięb i innych ptaszków śpiewających. W Ardenach znowu uprawia się łowienie kwiczołów w ogromnej liczbie. Ale oznaką polepszenia się stanu rzeczy jest już sam fakt, że kwestya ochrony ptactwa została poruszona na międzynarodowym kongresie. Na kongresie tym omawiano także inne, międzynarodowe kwestye myśliwskie, sprawę handlu bronią, prawodawstwa łowieckiego i t. d.

PRAWIDŁA

Konkursowej próby wyżłów (field-trial), urządzonej przez Warszawski oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myslistwa w 1907 r.

1. Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa urządza w bieżącym, 1907 r., tytułem próby i dla zachęty posiadaczy wyżłów, próby polowe *(field-trial)* z nagrodami dla najlepszych i najlepiej ułożonych wyżłów wszelkich ras i pochodzenia.

2. Do konkursu mogą być zapisane wyżły wszelkich ras, przyczem podane być winny: wiek, pochodzenie i pole psa.

3. Zapisy przyjmowane będą w Kancelaryi Tow. do daty ogłoszenia konkursu do 6. września włącznie. Zapisujący wnoszą, tytułem wpisowego, po rb. 3 od wyżła. Konkurs odbędzie się w d. 7-ym września 1907 r.

4. Psy chore i suki grzejące się do konkursu dopuszczone nie będą. Na punkcie zbornym w dniu konkursu i o godzinie, wskazanej przez Kancelaryę, psy winny się znajdować w obrożach i na łańcuszkach. Sędziowie będą kwalifikowali psy na miejscu, przyczem psy wyraźnie nierasowe mogą być przez nich odrzucone. Kolej próby psów ustanawia się przez losowanie. Spóźniający się pies będzie próbowany na końcu.

5. Psy próbowane będą na kuropatwach. Próby odbywać się będą w okolicach Warszawy.

6. Orzeczenie sędziów nie podlega apelacyi.

7. Rezultat ogłoszony będzie na drugi dzień w pismach.

8. Właściciel sam (lub przez strzelca) prowadzi psa, ściśle stosując się do wymagań i wskazówek sędziów.

NAGRODY.

Klasa I. Psy angielskie.

Nagroda I. Wielki żeton złoty, emaliowany.
„ II. Żeton złoty.
„ III. Żeton srebrny.

Klasa II. Psy niemieckie.

Nagroda I. Wielki żeton złoty, emaliowany.
„ II. Żeton złoty.
„ III. Żeton srebrny.

Klasa III. Psy półkrwi.

Nagroda I. Wielki żeton srebrny, emaliowany.
„ II. Żeton srebrny.

Nadto sędziowie mogą przyznawać *Listy pochwalne* w ilości nieograniczonej.

Nagrody dla strzelców, układajacych psy.

W klasach: I, II i III — trzy nagrody po 20 rb.
„ I, II i III — „ „ „ 15 „
„ I i II — dwie „ „ 10 „

Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Posiedzenie Rady Towarzystwa odbyło się w d. 7 sierpnia pod przewodnictwem p. Mikołaja Blumentala.

1. Odczytano list p. Feliksa Rożyńskiego, w którym tenże dziękuje za wybranie go członkiem stałym Towarzystwa i wyraża nadzieję, że w tej części Wołynia, w której obecnie przebywa, zdoła wprowadzić łowy na prawidłowe tory.

2. Moskiewskie Tow. praw. myśl. zawiadamia, że w d. 15 i 16 sierpnia st. st. urządza doroczne próby polowe wyżłów. Rada postanowiła przesłać trzy żetony złoty, wielki srebrny i mały srebrny) dla najlepszych (psów do uznania sędziów.

3. Petersburskie Tow. zachęty polowych zalet psów zawiadamia również, że konkurs wyżłów, urządzony przez nie, odbędzie się w okolicy Nowego Peterhofu w d. 12, 19 i 20 sierpnia st. st. Rada postanowiła i w tym wypadku przesład trzy żetony.

4. Podobne zawiadomienie otrzymała Rada od Petersburkiego Tow. miłośników psów rasowych, które urządza konkurs wyżłów w d. 15 16 i 19 sierpnia st. s. Rada postanowiła przesłać trzy żetony dla najlepszych psów.

5. Jeden z Członków Towarzystwa zawiadamia, że kilku oficyalistów jednej z fabryk w sąsiedztwie Nowo-Radomska polowało na kaczki, bekasy, czajki, oraz inne ptactwo błotne i wodne w dniu 16 i 23 czerwca, to znaczy na kilka tygodni przed otwarciem sezonu na ptactwo przelotne. Rada postanowiła zawiadomić o tem nadużyciu p. naczelnika powiatu nowo radomskigo, prosząc go o pociągnięcio winnych do odpowiedzialności.

6. P. naczelnik pow. nowo-mińskiego zawiadamia Radę, że z jego strony nie zachodzą żadne przeszkody w mianowaniu Marcina Witaka strożem miejsca ochronnego, urządzonego w majątku Gródek p. Skibińskiego.

Posiedzenie wydziału hodowli psów rasowych odbyło się w d. 7 sierpnia. W zastępstwie nieobecnego prezesa, hr. Aleksandra Ilinskiego-Kaszowskiego, przewodniczył p. Wł. Słonczyński.

1. Przyjęto do wiadomości protokół Komisyi V-ej Warszawskiej Wystawy psów rasowych, stwierdzający zamknięcie tejże i rozwiązanie Komitetu. Dochód czysty z Wystawy wyniósł w r. b. 200 rb. 50 kop.

2. Odczytano list p. Wład. Starzyńskiego, w którym tenże zrzeka się mandatu Członka Wydziału.

3. Termin konkursu wyżłów naznaczono na sobotę 7-go września r. b.

4. Na sędziów konkursu wyżłów postanowiono zaprosić pp. Stanisława Lilpopa, Hermana Knothe, Jana Sztolcmana, Wł. Starzyńskiego i Bronisława Wysockiego, a na zastępców pp. Józefa Zarembskiego i Wł. Słonczyńskiego.

5. Postanowiono, na wniosek p. Hermana Knothego, wydawać na konkursie wyżłów nagrody w żetonach (złotych emaliowanych, złotych i srebrnych) zamiast w pieniądzach, jak się dotychczas praktykowało. Natomiast dla strzelców-treserów utrzymano nagrody pieniężne.

6. Psy, stające do konkursu, podzielono na trzy klasy, a mianowicie: Klasa I. psy angielskie (pointery i settery), klasa II. psy niemieckie, i klasa III. psy półkrwi.

7. Postanowiono podać wiadomość o mających się odbyć próbach polowych wyżłów do pism codziennych.

8. Postanowiono prosić sekretarza Wydziału, p. Jana Sztolcmana, o wygotowanie projektu szczegółowej instrukcyi dla sędziów konkursu wyżłów. Projekt ten zostanie rozpatrzony na przyszłem posiedzeniu Wydziału w d. 11 sierpnia.

Drobiazgi myśliwskie.

Sklep z bronią pod firmą Roberta Zieglera w Warszawie, zapieczętowany przez policyę przed kilku tygodniami, ponownie otwarto. Zamknięty w czerwcu skład z bronią Niżałowskiego, przy ul. Królewskiej, z decyzyi władz administracyjnych, został również otwarty.

Kłusownik morderca. Z Międzyrzeca, gub. siedleckiej, donoszą nam: W d. 21 lipca, w lasach międzyrzeckich, stanowiących własność Andrzeja hr. Potockiego, w osadzie Żerocin, zabito leśniczego tychże lasów, Bolesława Zwolanowskiego. Zabójstwa dokonano w okolicznościach następujących: gdy Zwolanowski przejeżdżał przez las, potkał znanego w tej okolicy kłusownika Płochockiego, który, na widok p. Z., ukrył się w rowie. P. Z., zeszedłszy z konia, skoczył do rowu, a wówczas huknął wystrzał z dubeltówki, który zranił p. Z. w biodro. Na odgłos strzału przybiegł stróż leśny, któremu p. Z. oświadczył, że postrzelony został przez Płochockiego. Po upływie godziny ranny już nie żył. Płochockiego aresztowano. Zmarły, w wieku lat 25, pozostawił po sobie żal ogólny, gdyż cieszył się szczerą sympatyą.

Kradzież prochu. P. między stacyami Wawer i Praga skradziono z wagonu towarowego 4 skrzynki prochu wa i 4 pudy 6 funtów. Sprawców kradzieży nie wykryto.

W obronie zwierzyny pisze w „Słowie" prenumerator z Kaliskiego: Nadchodzi czas polowania, prawem przepisany. Że jestto termin za rychły, w tem nie może być dwóch zdań. Pewnem jest, że w roku bieżącym kuropatw będzie mało. Deszcze dużo w nich szkody zrobiły. To też należałoby w ięć zwierzynę w szczególną opiekę a więc i polowanie zacząć później. Polując na kuropatwy, oszczędzać starek, bronią one bowiem swych dzieci przed szkodnikami. Małych kuropatw, tak zwanych zielonek, nie strzelać. Zimą kuropatw wcale nie bić. Co się tyczy zajęcy, to można o nich powiedzieć, że są to najbiedniejsze stworzenia. Kłusownicy polują na nie cały rok. Psy i inne szkodniki niszczą je ogromnie. W sąsiedztwie piszącego te słowa, zatruło się trzydzieści kilka psów, na majątku 25-włókowym, w cią-

gu kilku miesięcy. A dobrzy — niby nawet — myśliwi, ochraniający zwierzynę, jak strzelają do zajęcy? na jaki dystans? Strzały na 80 do 120 kroków, to zwykła rzecz na nagankach i w kotłach. Jest że to racyonalnem? Ile padnie zajęcy na taki dystans na miejscu a ile się stanie pastwą drapieżników? Kotły i tak zwane gruszki powinniśmy znieść na naszych polowaniach, żeby samic oszczędzić. Wiadomo bowiem, że samce idą na nagance na strzał, a samice starają się wydostać na bok, czy w tył. Wiadomo również, ile więcej jest samców, niż samic. Polowanie na zające, odwlec jaknajdłużej, chociażby do zimy. Wiadomo, ile ginie samic kotnych, jeszcze we wrześniu. Kończyć polowanie na zające około 25 stycznia. Zakładać remizy dla zwierzyny. Wtenczas będziemy mieli i przyjemność i korzyść, bo będzie zwierzyna.

Wypadek z bronia. Michał Sołowiej został postrzelony z dubeltówki śrótem w kark i rękę, w Strudze, pod Warszawą, gdzie S. wlazł na drzewo, pozostawiwszy dubeltówkę, opartą o pień; jakiś człowiek, ujrzawszy dubeltówkę, zaczął ją oglądać i spowodował wystrzał, raniąc w ten sposób siedzącego na drzewie, Sołowieja.

Przygody menażeryi. Z Częstochowy do Czerwonego Boru, pod Łomżą, na kolei nadwiślańskiej, pociąg towarowy przywiózł 6 wagonów z okazami menażeryi. Po przybyciu na st. Czerwony Bór i sprawdzeniu całości „towaru“, okazało się, że z wiezionych w nich dzikich zwierząt, padły dwa lwy i antylopa, a to z powodu braku pokarmu i jakiegokolwiek o zwierzęta te starania!.. Właściciel menażeryi, Loberberg, zażądał od kolei nadwiślańskich 6,000 rb. odszkodowania, ale, ponieważ mu ich odmówiono, oświadczył, że, jako zrujnowany odmawia i zrzeka się przyjęcia całej menażeryi, t. j. reszty pozostałych przy życiu, choć wygłodzonych zwierząt. Żeby pozbyć się... nieproszonych, a z głodu wyjących i ryczących pasażerów, żandarmerya kolejowa przedsięwzięła środki, w celu oddania zwierząt, lecz nie ich właścicielowi, który porzucił je i zostawił bez żadnego dozoru, ale policyi miejscowej do przeżywienia. Zarząd kolei nadwiślańskich polecił w ciągu 24 godzin sprzedać menażeryę przez licytacyę na pokrycie należności kolejowej. Gdyby zaś okazało się niemożliwem, wydał na wszystkie niewinne zwierzęta — wyrok śmierci!

Jeleń powodem alarmu. W końcu lipca w nocy, na podwórzu więzienia warszawskiego, zwanego Pawiakiem, rozległy się dwa strzały karabinowe, a następnie wołanie ratunku. Na miejsce wypadku wystąpiło wojsko i dozorcy więzienni, którzy ujrzeli przewróconego na ziemię wartownika i pastwiącego się nad nim młodego jelenia. Jeleń ten jest ulubieńcem wszystkich aresztantów i służby. Niegdyś był on ofiarowany na Wielkanoc dla więźniów, ale na prośbę wszystkich, darowano mu życie, więc biega po obszernych dziedzińcach gmachu więziennego. Jeleń zbliżył się w nocy do żołnierza, który, zaskoczony znienacka przez nieznane mu widocznie zwierzę, wystrzelił, a jeleń, jakby rozgniewany takim brakiem ufności, zaczął wartownika bić rogami. Z rozporządzenia władzy więziennej, jelenia teraz zamykają na noc w szopie, aby nie niepokoił wartowników.

Wieści hiobowe z Prus. W Prusach wschodnich padał bardzo ulewny deszcz przez 24 godzin bez przerwy. Z tego powodu donoszą, że tam polowanie na kuropatwy i bażanty należy uważać za przepadłe. Wszystkie łąki i pola, niżej położone, przedstawiały d. 14 lipca istne jeziora. Ogromne szkody deszcz wyrządził także, niszcząc siano i płody rolne. Cała młodzież ze zwierzyny przepadła. Stwierdzono jeszcze, że wiele kur-bażantów nie chciało opuścić gniazda z młodemi i razem z niemi utonęły.

Odlot jaskółek. Znany badacz przyrody, Siegel, z pod Wiednia, zauważył, że tego roku jaskółki rozpoczęły niesłychanie wcześnie odlot swój do ciepłych krajów, gdyż stało się to już d. 10 lipca

Wystawa myśliwska w Opawie. W dniu 14-ym b. m. otwarta została w Opawie (Troppau) na Szlązku austryackim wystawa myśliwska, obejmująca bogaty dział rogów, oraz oddział rybacki. Prezydyum honorowe wystawy składa się z prezydenta krajowego, d-ra Karola barona Heinolda, Henryka hr. Larisch-Moennicha, Kamila hr. Razumowskiego, burmistrza d-ra Emila Rochowańskiego, oraz Jana hr. Wilczka. K. hr. Razumowski ofiarował trzy nagrody, a cieszyński związek myśliwski — jedną

Wypadek w menażeryi. W Londynie d. 29-go lipca pomocnika menażeryi Hasselmana, rozszarpała wieczorem w teatrze Palace w Gloucester lwica, która wyłamała się z klatki. Gdy ją z sikawek ręcznych oblano wodą, powróciła, na rozkaz swej poskromicielki do klatki.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów“ **J. O.** *(C. d.).*

Pies.

391. Nie wierz psu i mężczyźnie.
392. U mężczyzny wiara, a u psa para, to jedno
393. Niema czem psa z domu wywabić.
394. Mizdrzy się, jak pies do bata.
395. Na rozlane mleko pies i świnia lezie.
396. Przyszedł nań mróz, jak na psa.
397. Muchy, psy, ciekawcy, pierwszymi do rzeczy przystępują.
398. Muchy, psy, gachów, gdzie się ponecą, trudno wygnać.
399. Nawymyślał, jak psu.
400. Nieboja psy kąsają.
401. Pół psa, pół kozy, niedowiarek boży.
402. Przez niedozór zjadł pies ozór.
403. Obżarł się, jak pies chrabąszczami.
404. Obmówca gorszy od psa.
405. Obstąpili go, jak psy wilka.
406. Odszedł, jak pies oparzony.
407. Odgryza się, jak pies.
408. Odskoczył, jak pies od jeża.
409. Kto nie słucha ojca, matki, będzie słuchał psiej łatki.
410. Psu oczy przedał.
411. Opadli go, jak psy dziada.
412. Taki na opiekuna, jak pies na pastucha.
413. Ostatek niechaj psi orzą.
414. Ostatniego psy gryzą.

Treść Nr. 16 „Łowca Polskiego“.

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rb 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego“** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego“** Ś-to Krzyzka 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego“** adresować należy:

Smolna 40, w Warszawie.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk „Drukarni Polskiej“ (L. Strassewicza). Warszawa, Jasna 2.